

Jorge Luis Borges

Czas i J. W. Dunne

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (31), 173-182

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadectwa

Jorge Luis Borges

Czas i J. W. Dunne

W numerze 69 miesięcznika „Sur” (grudzień 1939 r.) opublikowałem prehistorię czy też pierwszą szczątkową historię nieskończonej regresji¹. Nie wszystkie pominięcia tego szkicu były niezamierzone: świadomie pominąłem wzmiankę o J. W. Dunne’ie, który wyprowadził z niekończącego się *regressus* dość dziwną doktrynę podmiotu i czasu. Przedyskutowanie (a nawet zwykłe przedstawienie) jego tezy przekraczałoby granice owej noty. Jej złożoność domagała się niezależnego artykułu, o który się teraz pokuszę. Do napisania go skłania mnie lektura ostatniej książki Dunne’a — *Nothing Dies* (1940 Faber and Faber) — która powtarza, czy streszcza, tematy trzech poprzednich.

A raczej temat jedyny. Jego mechanizm nie ma w sobie nic nowego; rzeczą niemal skandaliczną, niezwykłą, są konsekwencje wyciągnięte przez autora. Przed skomentowaniem ich odnotuję uprzednie awatary przesłanek.

Siódmy z licznych systemów filozoficznych Indii, jakie rejestruje Paul Deussen², przeczy, jakoby *ego* mogło być bezpośrednim przedmiotem poznania, bo „gdyby nasza dusza była poznawalna, konieczna byłaby druga dusza, żeby poznać pierwszą, i trzecia, żeby poznać drugą. Hindusi nie posiadają odczucia historycznego (tzn. przewrotnie wolą badać idee niż imiona i daty filozofów), ale wiemy, że ta zasadnicza negacja introspekcji liczy jakieś osiem wieków. Około 1843 r. Schopenhauer odkrywa ją ponownie. „Znający podmiot”, powtarza, „nie jest znany jako taki, gdyż byłby przedmiotem poznania innego znajdującego podmiotu” (*Welt als Wille und Vorstellung*,

¹ Por. esej *Kolisty czas*. „Twórczość” 1969 nr 11 (przyp. tłum.).

² *Nachvedische Philosophie der Inder*, 318.

tom drugi, rozdz. XIX). Herbart również bawił się tą ontologiczną mnogością. Przed ukończeniem dwudziestu lat rozumował, że *ego* jest w nieunikniony sposób nieskończone, gdyż fakt, że wie o sobie samym, domaga się drugiego *ego*, które również wie o sobie samym, a to domaga się z kolei innego *ego*. (Deussen: *Die neuere Philosophie*, 1920, s. 367). Ozdobiony anegdotami, parabolami, ironią i diagramami, ten właśnie temat składa się na traktaty Dunne'a.

Ten ostatni (*An Experiment with Time*, rozdz. XXII) rozumuje, że świadomy podmiot nie tylko jest świadomy tego, co dostrzega, lecz również podmiotu A, który dostrzega, i dlatego innego podmiotu B, który jest świadomy A, i dlatego innego podmiotu C, świadomego B... W sposób nie pozbawiony zagadkowości dodaje, że te niezliczone wewnętrzne podmioty nie mieszczą się w trzech wymiarach przestrzeni, ale mieszczą się w nie mniej niezliczonych wymiarach czasu. Przed wyjaśnieniem tego wyjaśnienia zapraszam czytelnika do powtórnego przemyślenia tego, co mówi ten ustęp.

Huxley, dobry spadkobierca brytyjskich nominalistów, utrzymuje, że istnieje jedynie różnica słowna między faktem odczuwania jakiegoś bólu a faktem wiedzy, że ktoś go odczuwa, i kpi z czystych metafizyków, którzy rozróżniają w każdym wrażeniu „czujący podmiot, przedmiot, powodujący odczucie i ową nadrzędną postać: *ego*” (*Essays*, tom szósty, s. 87). Gustaw Spiller (*The Mind of Man*, 1902) dopuszcza, że świadomość bólu i ból są dwoma różnymi faktami, ale uważa je za tak nierozłączne, jak jednoczesna percepcja jakiegoś głosu i jakiejś twarzy. Jego opinia wydaje mi się słuszna. Co do świadomości świadomości, na którą powołuje się Dunne przy umieszczeniu w każdej jednostce zawrotnej i mglistej hierarchii podmiotów, wolę podejrzewać, że chodzi tu o stany następcze (czy wyimaginowane) podmiotu pierwotnego. „Jeżeli duch — powiedział Leibnitz — miałby powtórnie myśleć o tym, o czym już myślał, wystarczyłoby odebrać jakieś uczucie, żeby pomyśleć o nim, i żeby pomyśleć potem o myśli, i potem o myśli myśli, i tak w nieskończoność” (*Nouveaux essais sur l'entendement humain*, księga druga, rozdz. I).

Proceder stworzony przez Dunne'a dla natychmiastowego uzyskania nieskończonej ilości czasów jest mniej przekonujący i bardziej pomysłowy. Jak Jan z Meny w swym *Labyrintho*³, jak Uspienski w *Tertium Organum*, postuluje, że istnieje już przyszłość ze swymi wydarzeniami i szczegółami. Ku uprzednio istniejącej przyszłości (albo od uprzednio istniejącej przyszłości, jak woli Bradley) płynie absolutna rzeka kosmicznego czasu (czy śmiertelne rzeki naszych egzystencji). To przemieszczanie się, to płynięcie wymaga, jak każdy ruch, określonego czasu; będziemy więc mieli drugi czas, żeby przemieścić się pierwszy; trzeci, żeby przemieścić się drugi, i tak w nie-

³ W tym poemacie z XV w. występuje wizja „trzech bardzo wielkich kół”: pierwsze, nieruchome, to przeszłość; drugie, krążące, teraźniejszość; trzecie, nieruchome, przyszłość.

skończoność...⁴ Taka jest machina zaproponowana przez Dunne'a. W owych hipotetycznych i złudnych czasach mają swoje nieskończone siedlisko niedostrzegalne przedmioty, jakie mnoży ten drugi *regressus*.

Nie wiem, co sądzi o tym mój czytelnik. Nie twierdzę, że wiem, czym jest czas (ani nawet, czy jest „czymś”), ale domyślam się, że bieg czasu i czas są jedną tylko zagadką, a nie dwiema. Dunne, jak podejrzewam, popełnia błąd podobny do tego, jaki popełniają roztargnieni poeci, którzy mówią (powiedzmy) o księżycu, że ukazuje swój czerwony krąg, zastępując w ten sposób niepodzielny obraz podmiotem, orzeczeniem i dopełnieniem, które nie jest czymś innym niż sam podmiot, nieznacznie zamaskowany... Dunne jest znakomitą ofiarą tego złego nawyku intelektualnego, który piętnował Bergson: pojmowania czasu jako czwartego wymiaru przestrzeni. Postuluje, że istnieje już przyszłość i że musimy przenieść się do niej, ale ten postulat wystarcza, aby uczynić z niej przestrzeń i aby domagać się drugiego czasu (który również jest pojęty w formie przestrzennej, w formie linii czy rzeki), a następnie trzeciego i milionowego. Żadna z czterech książek Dunne'a nie omieszczała proponować nam *nieskończonych wymiarów czasu*⁵, ale wymiary te są przestrzenne. Prawdziwym czasem dla Dunne'a jest nieosiągalny ostatni kres nieskończonej serii.

Jakie istnieją racje, aby postulować, że istnieje już przyszłość? Dunne dostarcza dwóch: jedna to premonitoryjne sny; druga to względna przejrzystość, jakiej udziela ta hipoteza nierozwikłanym diagramom, które są typowe dla jego stylu. Pragnie również ominąć problem ciągłego stwarzania...

Teologowie definiują wieczność jako równoczesne i przejrzyste posiadanie wszystkich chwil czasu i twierdzą, że jest ona jednym z atrybutów boskich. Dunne w zdumiewający sposób zakłada, że wieczność jest już nasza i że potwierdzają to sny każdej nocy. Zlewają się w nich (według niego) bezpośrednia przeszłość i bezpośrednia przyszłość. Na jawie przebywamy płynący czas ze stałą szybkością; we śnie obejmujemy obszar, który może być niezwykle rozległy. Śnić to koordynować spojrzenia tej kontemplacji i tkąć przy ich pomocy historię czy serię historii. Widzimy obraz sfinksa i obraz apteki i wymyślamy, że apteka staje się sfinksem. Człowiekowi, którego poznamy jutro, przypisujemy usta należące do twarzy, jaka patrzyła na nas przedwczoraj... (Już Schopenhauer napisał, że życie i sny są kartami tej samej książki, i że czytać je kolejno, to żyć; przerzucać je, to śnić).

⁴ Pół wieku przed tym, jak zaproponował je Dunne, „absurdalne przypuszczenie drugiego czasu, w którym płynie, szybko czy wolno, pierwszy”, zostało odkryte i odrzucone przez Schopenhauera w rękopiśmiennej notce dołączonej do *Welt als Wille und Vorstellung*. Odnotowuje ją stronica 829 drugiego tomu historyczno-krytycznego wydania Otto Weissa.

⁵ Zdanie to jest rewelacyjne. Rozdział XXI książki *An Experiment with Time* mówi o pewnym czasie, który jest prostopadły do innego.

Dunne zapewnia, że po śmierci nauczymy się szczęśliwego posługiwania wiecznością. Odzyskamy wszystkie chwile naszego życia i zestawimy je tak, jak nam się podoba; Bóg i nasi przyjaciele, i Szekspir będą z nami współpracować.

Wobec tak wspaniałej tezy jakakolwiek pomyłka popełniona przez autora jest bez znaczenia.

Windykacja kabały

Nie jest to ani pierwszy raz, gdy się ją podejmuje, ani z pewnością nie ostatni, gdy ponosi ona porażkę, ale wyróżniają ją dwa fakty. Jednym jest moja całkowita niemal niewinność, jeśli chodzi o język hebrajski; drugim jest okoliczność, że nie pragnę bronić samej doktryny, lecz hermeneutycznych czy kryptograficznych procedur, które do niej prowadzą. Procedury te, jak wiadomo, to czytanie pionowo świętych tekstów, czytanie zwane *bouestrophedon* (od prawej do lewej jeden wiersz, od lewej do prawej następny), metodyczne zastępowanie jednych liter alfabetu drugimi, sumowanie wartości liczbowej liter itp. Naigrawanie się z takich operacji jest łatwe, wolę pokusić się o ich zrozumienie.

Jest rzeczą oczywistą, że ich odległą przyczyną jest przeświadczenie o mechanicznej inspiracji *Biblii*. Przeświadczenie to, które czyni z ewangelistów i proroków bezosobowych sekretarzy Boga piszących pod dyktando, występuje z nieostrożną energią w *Formula consensus helvetica*, która domaga się wartości dla spółgłosek Pisma, a nawet dla znaków diakrytycznych — jakich wersje pierwotne nie znały. (Tym drobiazgowym wypełnianiem przez człowieka literackich zamierzeń Boga jest natchnienie czy entuzjazm: słowo, którego ścisłym znaczeniem jest pycha). Wyznawcy islamu mogą pysznić się przewyższeniem tej hiperboli, gdyż uznali, że oryginał Koranu — *matka Księgi* — jest jednym z atrybutów Boga, jak Jego litość czy Jego gniew, i uważają, że jest on uprzedni wobec języka, wobec Stworzenia. Istnieją również teologowie luterkańscy, którzy nie ryzykują włączenia Pisma do rzeczy stworzonych i określają je jako wcielenie Ducha.

Ducha: już muska nas tajemnica. Nie ogólne bóstwo, lecz trzecia hipostaza bóstwa podyktowała *Biblię*. Jest to powszechna opinia; Bacon, w roku 1625, napisał: *Pióro Ducha Świętego zatrzymało się dłużej na udrękach Joba niż na szczęśliwościach Salomona*¹. Również jego współczesny, John Donne: *Duch Święty jest pisarzem elokwentnym, pisarzem żarliwym i płodnym, ale nie gadatliwym; tak dalekim od stylu ubogiego jak od zbyt bogatego*.

Jest rzeczą niemożliwą określenie Ducha i przemilczenie potwornej,

¹ Idę za wersją łacińską: *Diffusius tractavir Jobi afflictiones*. Po angielsku, z większą słusznością, napisał: *hath laboured more*.

troistej i jedynej spółki, do której należy. Świeccy katolicy uważają ją za połączone ciało, nieskończenie prawidłowe, ale również nieskończenie nudne; *liberałowie* — za próżnego teologicznie cerbera, przesąd, który liczne postępy stulecia z pewnością obalą. Jasne jest, że trójca wykracza poza te formuły. Wyobrażona nagle, jej koncepcja ojca, syna i widma, połączonych w jednym organizmie, zda się przypadkiem intelektualnej teratologii, deformacją, którą mogła stworzyć jedynie zgroza jakiegoś koszmaru. Tak mi się zdaje, ale staram się myśleć, że wszelki podmiot, którego przeznaczenia nie znamy, jest prowizorycznie potworny. Ta ogólna uwaga jest tu pogłębiona przez zawodową tajemnicę dotyczącą przedmiotu.

Oddzielone od pojęcia odkupienia, wyróżnienie trzech osób w jednej musi wydawać się arbitralne. Gdy rozpatrywać je jako konieczność wiary, jej zasadnicza tajemnica nie traci swej wagi, ale ukazuje się jej intencja i zastosowanie. Rozumiemy, że wyrzec się Trójcy — przynajmniej Dwójcy — to uczynić z Jezusa przypadkowego wysłannika Pana, epizod historii, nie zaś nieprzemijającego słuchacza naszej nabożności. Jeżeli Syn nie jest również Ojcem, odkupienie nie jest bezpośrednim dziełem boskim; jeżeli nie jest wieczny, nie jest również taką ofiarą ponizenia się do stanu człowieka i śmierć na krzyżu. *Nic mniejszego niż nieskończona doskonałość mogło dać zadośćuczynienie za duszę straconą na nieskończone wieki*, podkreślał Jeremias Taylor. W ten sposób można uzasadnić dogmat, chociaż pojęcia powołania do życia Syna przez Ojca i powołania Ducha przez nich obu w heretycki sposób insynuują jakieś pierwszeństwo, nie mówiąc już o ich winie bycia zwykłymi metaforami. Teologia, stawiając sobie za zadanie rozróżnienie ich, wyjaśnia, że nie powoduje to zamętu, ponieważ rezultatem jednego jest Syn, drugiego Duch. Wieczne powoływanie do życia Syna, wieczne powstawanie Ducha to wspaniała decyzja Ireneusza: wymyślenie jakiegoś aktu bez czasu, jakiegoś okaleczonego *zeitloses Zeitwort*, który możemy odrzucić czy czcić, ale nie kwestionować. Piekło jest zwykłym gwałtem fizycznym, ale trzy nie rozwikłane osoby wnoszą groźbę intelektualną, przepastną, pozorną nieskończoność, jak nieskończoność przeciwległych zwierciadeł. Dante chciał je przedstawić przy pomocy lśnienia przezroczytych kul o różnych kolorach; Donne — przy pomocy skomplikowanych węży, okazałych i nierozdzielnych. *Toto coruscet trinitas mysterio*, pisał św. Paulin; *Rozbłyska trójca, w pełnej tajemnicy*.

Jeżeli Syn jest przymierzem Boga ze światem, to Duch — początek uświęcenia według Atanazego; anioł pośród innych dla Macedonia — nie dopuszcza lepszej definicji niż ta, że jest intymnością Boga z nami, jego immanencją w piersi. (Dla socynianów — obawiam się, że z wystarczającą słusnością — nie był niczym innym niż uosobionym wyrażeniem, jakąś metaforą boskiej działalności, którą zajmowano się później aż do zawrotu głowy). Czy jest to zwykła formacja syntaktyczna czy nie, pewne jest, że trzecia ślepa osoba splecionej Trójcy jest uznanym autorem Pisma. Gibbon w owym

rozdziale swojego dzieła, który traktuje o Islamie, włącza ogólny spis publikacji Ducha Świętego, szacowanych z pewną nieśmiałością na przeszło sto; ale ta, która interesuje mnie w tej chwili, to *Genesis*: przedmiot Kabały.

Kabaliści, jak teraz wielu chrześcijan, wierzyli w boskość tej historii, w jej rozmyślnie zredagowanie przez nieskończoną inteligencję. Konsekwencje tego postulatu są liczne. Roztargnione przewertowanie jakiegoś potocznego tekstu — np. efemerycznych wzmianek dziennikarskich — dopuszcza znaczny udział przypadku. Komunikują one — postulując go — jakiś fakt; informują, że zawsze odmienny napad wydarzył się na takiej ulicy, na takim rogu, o takiej godzinie nad ranem, recepta, za którą nie stoi żaden autorytet i która ogranicza się do wskazania nam określonego Miejsca, skąd pochodzą te wiadomości. W takich wskazówkach rozległość i akustyka akapitów są z konieczności przypadkowe. Rzecz odwrotna dzieje się z wierszami, których zwyczajnym prawem jest podporządkowanie sensu wymogom (przesądom) eufonicznym. Rzeczą przypadkową w nich jest nie dźwięk, lecz to, co oznaczają. Tak jest u wczesnego Tennysona, u Verlaine'a, u późnego Swinburne'a: oddających się ekspresji stanów ogólnych przy pomocy bogatych przygód swojej prozodii. Zajmijmy się trzecim pisarzem, intelektualnym. Ten, posługując się zarówno prozą (Valéry, De Quincey), jak i wierszem, nie wyklucza z pewnością przypadku, ale — w miarę możliwości — unika go i ogranicza nieobliczalne w skutkach przymierze z nim. Zbliża się w jakiś odległy sposób do Pana, dla Którego nieokreślone pojęcie przypadku nie posiada żadnego sensu. Do Pana, do udoskonalonego Boga teologów, który wie natychmiast — *uno intelligendi actu* — nie tylko o wszystkich rzeczach tego rozległego świata, ale i o tych — również niemożliwych — które zaistniałyby, jeśliby najniepozorniejsza z nich uległa zmianie.

Wyobraźmy sobie teraz tę gwiazdną inteligencję, która postanowiła by przejawić się nie w dynastiach czy unicestwieniach, czy w ptakach, lecz w napisanych wyrazach. Wyobraźmy sobie również, zgodnie z preaugustiańską teorią natchnienia słownego, że Bóg dyktuje, słowo po słowie, to co zamierza powiedzieć². To założenie (które właśnie przyjęli kabaliści) czyni z Pisma jakiś tekst absolutny, w którym współpraca przypadku jest wymierna zerem. Samo wyobrażenie sobie tego dokumentu jest cudem większym niż te, które rejestrują jego stronicę. Księga nieprzenikalna dla przypadkowości, mechanizm o nieskończonych zamiarach, o nieomylnych wariantach, o objawieniach, które czyhają, o nawarstwieniach światła, jakże nie studiować jej aż do absurdu, aż do numerycznej hipertrofii, jak to czyniła kabała?

1931 r.

² Orygenes przypisywał trzy znaczenia słowom Pisma: historyczne, moralne i mistyczne, odpowiadające ciału, duszy i duchowi, jakie składają się na człowieka; Jan Scotus Eriugena — nieskończoną ilość znaczeń, jak lśnienie upierzenia pawia.

„The Purple Land”

Ta powieść Hudsona da się zredukować do formuły tak starożytnej, że obejmuje ona niemal *Odyseę*; tak elementarnej, że subtelnie ją zniesławia i odbiera jej wartość określenie *formuła*. Bohater wyrusza w świat i wychodzą mu naprzeciw przygody. Do tego koczowniczego i przypadkowego gatunku należy *Złoty osioł* i fragmenty *Satiriconu*; *Pickwick* i *Don Kichot*; *Kim* z Lahore i *Don Segundo Sombra* z Areco. Nazywanie tych narracji powieściami pikarejskimi wydaje mi się nieuzasadnione; po pierwsze ze względu na małąskową konotację tego określenia, po drugie ze względu na jego lokalne i czasowe ograniczenie (wiek XVI hiszpański, wiek XVII). Poza tym gatunek ten jest skomplikowany. Nieład, niespójność i różnorodność nie są nieprzystępne, ale niezbędne jest, aby rządził nimi jakiś ukryty porządek, który stopniowo odkrywamy. Przypomniałem kilka sławnych książek; być może nie istnieje ani jedna, która nie wykazuje oczywistych wad. Cervantes uruchamia dwa typy: szlachcica „suchego”, wysokiego, ascetycznego, szalonego i górnołotnego; gburę mięsistego, niskiego, żarłocznego i ordynarnego: ta niezgodność tak symetryczna i niezachwiana odbiera im w końcu realność, sprowadzając ich do postaci cyrkowych. (W rozdziale siódmym *El Payador* nasz Lugones wysunął już ten zarzut). Kipling wymyśla Przyjaciela Całego Świata, niezależnego Kima: po niewielu rozdziałach, powodowany nie wiem jaką patriotyczną perwersją, daje mu okropne zajęcie szpiega. (W swej literackiej autobiografii, napisanej jakieś trzydzieści pięć lat później, Kipling nie okazuje skruchy, ani nie dostrzega nawet winy). Notuję bez niechęci owe defekty; czynię to, aby ocenić z równą szczerością *The Purple Land*.

Najbardziej prymitywne z gatunku powieści, o którym piszę, poszukują zwykłego następstwa przygód, zwykłej różnorodności; siedem podróży Sindbada Żeglarza dostarczają być może najczystszy przykład. Bohater w nich jest po prostu podmiotem, tak bezosobowym i biernym jak czytelnik. W innych (zaledwie bardziej złożonych) wydarzenia ukazują charakter bohatera, jeśli już nie jego absurdów i manii; tak jest w wypadku pierwszej części *Don Kichota*. W innych (które odpowiadają dalszemu etapowi) stosunek jest podwójny, wzajemny: bohater modyfikuje okoliczności, okoliczności modyfikują bohatera. Tak jest w wypadku drugiej części *Don Kichota*, *Huckleberry'ego Finna* Marka Twaina i *The Purple Land*. Narracja ta, w istocie, posiada dwa tematy. Pierwszy, widzialny: przygody angielskiego chłopca Richarda Lamba na Wybrzeżu Wschodnim¹. Drugi, istotny, niewidzialny: szczęśliwa kreolska adaptacja Lamba, jego stopniowe nawracanie się na miejscową moralność,

¹ Chodzi tu o wybrzeże rzeki La Plata. Tak nazywano w ubiegłym stuleciu Urugwaj, którego nazwa oficjalna brzmi dotąd Wschodnia Republika Urugwaju (przyp. tłum.).

które przypomina trochę Rousseau i przewiduje trochę Nietzschego. Jego *Wanderjahre* są również *Lehrjahre*. Hudson poznał na własnej skórze trudy półdzikiego, pasterskiego życia; Rousseau i Nietzsche jedynie poprzez wygodne tomy *Histoire Générale des Voyages* i Homeryckie epepeje. Nie znaczy to, że *The Purple Land* jest bez wad. Da się w nim dostrzec oczywisty błąd, który w logiczny sposób można przypisać przypadkowościom improwizacji: to zbędna i nużąca złożoność niektórych przygód. Myślę o przygodach końcowych: są zastarczające skomplikowane, aby znużyć uwagę, lecz nie, aby ją zainteresować. W owych rozwlekłych rozdziałach Hudson zda się nie rozumieć, że książka posiada charakter następczy (niemal tak wyraźnie następczy, jak *Satiricon* czy *Buscón*²), szpeci ją zbędnymi wybiegami. Chodzi tu o bardzo rozpowszechniony błąd: Dickens, we wszystkich swoich powieściach, popełnia analogiczną gadatliwość. Być może żadne z dzieł literatury gauczowskiej nie przewyższa *The Purple Land*. Byłoby godne pożałowania, jeśliby kilka typograficznych rozrządzeń i trzy czy cztery błędy, czy też erraty (*Camelones* zamiast *Canelones*, *Aria* zamiast *Arias*, *Gumesinda* zamiast *Gumer-sinda*) przesłoniły nam tę prawdę... *The Purple Land* jest dziełem zasadniczo kreolskim. Okoliczność, że narrator jest Anglikiem, uzasadnia pewne wyjaśnienia i pewną emfazę, jakiej domaga się czytelnik i jaka wydałaby się nienormalna u gaucza, przyzwyczajonego do tych rzeczy. W 31 numerze miesięcznika „Sur” Ezequiel Martínez Estrada twierdzi: „Nasze sprawy nie miały swojego poety, malarza czy interpretatora podobnego do Hudsona, ani nie będą go mieć nigdy. Hernández³ jest zaledwie fragmentem tej kosmorama argentyńskiego życia, jakie Hudson opiewał, opisywał i komentował(...) Na przykład na ostatnich stronicach *The Purple Land* zawarta jest najgłębsza filozofia i najwyższe uzasadnienie Ameryki wobec zachodniej cywilizacji i wobec walorów *ex cathedra*”. Martínez Estrada, jak widać, nie zawahał się przed preferencją dzieła Hudsona przed najślawniejszą księgą kanoniczną naszej literatury gauczowskiej. Po pierwsze zakres *The Purple Land* jest nieporównanie większy. *Martin Fierro* (pomimo projektu kanonizacji, wysuniętego przez Lugones) jest w mniejszym stopniu epepeją naszych początków — w 1872 roku! — niż autobiografią nożownika, zafałszowaną brawurami i skargami, które niemal prorokują tango. U Ascasubiego⁴ występują cechy bardziej wzięte z życia, jest więcej radości, więcej odwagi, ale wszystko to w sposób fragmentaryczny i ukryty znajduje się w trzech przypadkowych tomach liczących po czterysta stron każdy. *Don Segundo Sombra*⁵, pomimo autentyczności dialogów,

² Powieść pokarejska Queveda (przyp. tłum.).

³ José Hernández (1834—1886) — pisarz argentyński, autor epepei gauczowskiej *Martin Fierro*, stanowiącej arcydzieło literatury argentyńskiej (przyp. tłum.).

⁴ Hilario Ascasubi (1807—1875) — poeta argentyński. Jego dzieło stanowi rodzaj zbioru pampańskich romanzy (przyp. tłum.).

⁵ *Don Segundo Sombra* — jedna z najznakomitszych argentyńskich powieści gauczowskich. Jej autor to Ricardo Güiraldes (1886—1927) (przyp. tłum.).

zepsuty jest dążeniem do uwspanialenia najniewinniejszych zajęć. Wszystkim wiadomo, że ich narratorem jest gaucho; stąd podwójnie nieuzasadniony ów teatralny gigantyzm, który czyni z przegania ciałąt niemal wojenne przedsięwzięcie. Güiraldes moduluje głos, aby opowiadać o codziennych wiejskich zajęciach; Hudson (jak Ascasubi, jak Hernández, jak Eduardo Gutiérrez)⁶ opowiada z całą naturalnością o wydarzeniach być może potwornych.

Ktoś może zauważyć, że w *The Purple Land* gaucho pojawia się jedynie w sposób poboczny, drugorzędny. Wypada odpowiedzieć, że tym lepiej dla autentyzmu portretu. Gaucho jest człowiekiem milczącym, gaucho nie lubi gardzi złożonymi rozkoszami pamięci i introspekcji; ukazanie go jako autobiograficznego i wylewnego to zdeformowanie go.

Innym szczęśliwym pomysłem Hudsona jest miejsce akcji. Urodzony w prowincji Buenos Aires, w magicznym kręgu pampy, wybiera on jednak czerwone ziemie, gdzie powstańcy nużyli swe pierwsze i ostatnie lance: Wybrzeże Wschodnie. W literaturze argentyńskiej prym wiodą gauchowie z prowincji Buenos Aires; paradoksalnym powodem tego prymu jest istnienie wielkiego miasta, Buenos Aires, ojczyzny sławnych pisarzy „gauchowskich”. Jeśli zamiast indagować literaturę, będziemy trzymać się historii, stwierdzimy, że owi osławieni gaucho nie mieli wielkiego wpływu na losy swej prowincji, a żaden na losy kraju. Typowy organizm gauchowskiej wojny, *la montonera*⁷, ukazuje się w Buenos Aires jedynie sporadycznie. Rządzą miasto, rządzą kacykowie miejscy. Za ledwie jakiś osobnik — Hormiga Negra w dokumentach sądowych, Martin Fierro w literaturze — zdobywa w bandyckich napadach pewną policyjną sławę.

Hudson, jak powiedziałem, wybiera na włóczęgi swego bohatera wzgórze drugiego brzegu⁸. Ten sprzyjający wybór pozwala mu wzbogacić losy Richarda Lamba przy pomocy przypadku i zmiennych wojennych losów — przypadku, który sprzyja okazjom włóczęgowskiej miłości. Macaulay w artykule o Bunyanie dziwi się, że twory wyobraźni jednego człowieka stają się z czasem osobistymi wspomnieniami wielu innych. Twory wyobraźni Hudsona trwają w pamięci: brytyjskie kule gwizdzące nocą w Paysandú; zadumany gaucho, kurzący z rozkoszą czarny tytoń, przed bitwą, dziewczyna, która oddaje się obcemu na nie odwiedzanym brzegu jakiejś rzeki.

Poprawiając niemal do doskonałości pewne zdanie wypowiedziane przez Boswella, Hudson opowiada, że wielokrotnie w życiu rozpoczął studia nad metafizyką, ale że zawsze przerywało mu szczęście. Zdanie to (jedno z najbardziej pamiętnych, jakie zesłało mi obcowa-

⁶ Eduardo Gutiérrez (1851—1889) — powieściopisarz argentyński, autor powieści gauchowskich. Borges powołuje się w tym tekście na jego główną powieść *Juan Moreira* (przyp. tłum.).

⁷ *La montonera* — partyzancki powstańczy konny oddział zbrojny w wojnach o niepodległość krajów Ameryki Łacińskiej (przyp. tłum.).

⁸ Drugiego brzegu rzeki La Plata, czyli Wybrzeża Wschodniego, czyli Uru-gwaju (przyp. tłum.).

nie z literaturą) typowe jest dla tego człowieka i dla tej książki. Pomimo gwałtownej, przelanej krwi i rozstań *The Purple Land* należy do bardzo niewielu książek szczęśliwych, jakie są na ziemi. (Inna, również amerykańska, również o rajskim niemal posmaku, to *Huckleberry Finn* Marka Twaina). Nie myślę o chaotycznych debatach pesymistów i optymistów; nie myślę o doktrynalnym szczęściu, które nieubłaganie narzucił sobie patetyczny Whitmann; myślę o szczęśliwym harcie Richarda Lamba, o jego gościnności w przyjmowaniu wszelkich kolei losu człowieka, sprzyjających czy przeciwnych.

Ostatnia uwaga. Dostrzeżenie lub nie kreolskich odcieni jest być może bez znaczenia, ale faktem jest, że spośród wszystkich cudzoziemców (nie wyłączając, oczywiście, Hiszpanów) nie dostrzega ich nikt, tylko Anglik. Miller, Robertson, Burton, Cunninghame, Graham, Hudson.

Buenos Aires, 1941 r.

tłumaczył *Andrzej Sobol-Jurczykowski*